

Z racji, że temperatura wody w morzu na początku kwietnia nie zachęcała do kąpieli, udaliśmy się do pobliskiej miejscowości Korbus, słynącej z gorących źródeł. Co ciekawe przewodnik Lonely Planet, wspomina lakonicznie tylko o tym miejscu jednym zdaniem, ale na szczęście zobaczyliśmy zachęcające zdjęcia w przewodniku znajomych i decyzja była szybka.

Osiem osób nie zmieściło się jednak do jednej taksówki, która stała pod hotelem. A cwany taksjarsz nie chciał nic zejść z ceny ani wezwać żadnego kolegi z drugim autem. Na szczęście podjechała inna taksa z miasta odwożąca do naszego hotelu wycieczkowiczów z Tunisu. Tuniski taksjarsz powiedział, że pojedzie i to za rozsądną cenę, a nawet może zrobić dwa kursy, by po odwiezieniu nas do Korbus wrócić po resztę grupy. W negocjacjach przydała się podstawowa znajomość francuskiego i język migowy, bo chłop ni w ząb nie znał angielskiego, nawet liczebników. W każdym bądź razie miał nas odwieźć z powrotem też na dwie tury za cenę znacznie mniejszą niż taksjarsz spod hotelu. Tak też zrobiliśmy.

Ze wzniesienia w Korbus, po drugiej strony Zatoki Tuniskiej, widać zabudowę Kartaginy. Samo miejsce z gorącym źródłem położone jest nad samym morzem. Woda o temperaturze ok. 70 stopni wpada po skałach wprost do chłodnego morza. Tam się miesza stwarzając świetne warunki do kąpieli. Przy zabudowanej części źródła byli miejscowi kuracjusze, kobiety i mężczyźni, którzy napawali się wdychaniem siarkowych oparów. Gorąca woda nie dawała możliwości zanurzenia w niej nawet stóp na chwilę, bo mogło się to skończyć poparzeniem.

Koło źródła kręcił się sympatyczny, starszy człowiek-karzeł, ktoś jakby opiekun źródła. Przestrzegał przed zanurzaniem się w gorącej wodzie i zalecał samo wdychanie, chętnie też pozował do zdjęć. Gdy nas dostrzegł handlarz z pobliskiego sklepiku, a byliśmy tam jedynymi obcokrajowcami, podszedł proponując że może nam przynieść drinki i coś do jedzenia. Chcieliśmy zamówić zimne piwo, ale się tylko uśmiechnął i dał nam do zrozumienia, że to niemożliwe. W Tunezji obowiązuje zakaz spożywania alkoholu w miejscach publicznych, co nas tak bardzo nie dziwi, bo u nas w Kielcach też takowy zakaz obowiązuje pod karą grzywny.

Po kuracji wdechowej zdecydowaliśmy się na kąpiel w morzu pod gorącym źródłem. Zabawa była przednia, choć fale trochę utrudniały spokojną kąpiel w tym naturalnym jacuzzi. Zajadaliśmy sobie przepyszne, duże, pachnące truskawki kupione na straganie po drodze i poczuliśmy, że tego nam właśnie było trzeba. Nagle z wody, tuż obok nas wynurzył się płetwonurek, który trzymał w ręce kusze i swoją podwodną zdobycz. Po jego wyjściu z wody okazało się, że upolował sporą ośmiornicę, która jest tu uważana za przysmak. Dziewczęta jakoś jednak zaczęły się czuć w wodzie niepewnie i nalegały żeby wrócić na górę do wdychania.

Podobno woda z tego źródła jest dobra na schorzenia skóry, drogi oddechowe, a nawet wzmacnia potencję...Oj, siedząc tam sobie w tak cudownych warunkach, łatwo można było w to uwierzyć.

Wybierając się do Tunezji koniecznie chciałem zobaczyć ribat w Monastyrze, gdyż tam kręcono "Żywot Briana" Monty Pythona, dla mnie jeden z kultowych filmów. Aby dotrzeć do Monastyrza, najpierw planowaliśmy dojechać do Sousse, ale by to zrobić trzeba było dostać się taksówką do Tunisu. Tam okazało się, że najbliższy pociąg jest za dwie i pół godziny. Musieliśmy zwrócić świeżo zakupione w pośpiechu bilety kolejowe, gdyż pociąg widniejący w rozkładzie jazdy mający odjazd za 15 minut chyba kursował tylko latem. Chyba, znaczy, że to tylko nasze przypuszczenia, bo rozkład był tylko po arabsku, a pani w kasie z języków obcych znała tylko trochę francuski. Po stanowczym domaganiu się zwrotu kasy za bilety, oddała pieniądze po konsultacji, chyba z kierownikiem.

By nie tracić czasu, musieliśmy zmienić plan z kolei na luage. Te miejscowe busiki miały co prawda złą sławę, ze względu na ich stan techniczny i brawurową jazdę kierowców. My niczego takiego nie zauważyliśmy. W każdym bądź razie nie odbiegały standardem od naszych busików. Kierowca był uprzejmy, a do Sousse była z Tunisu cała autostrada o jakiej my możemy tylko sobie pomarzyć.

Dojechaliśmy w niecałą godzinę bez żadnych problemów. Choć postój luage jest na obrzeżach maista, które jest dość sporawe, ma ponad 170 tys. mieszkańców. To trzecie co do wielkości miasto Tunezji. Do centrum dojechaliśmy taksówką za niewielką kwotę według wskazań taksometru, co nas zdziwiło, bo do tej pory wszyscy taksjarze jeździli za umówione kwoty.

W Susie, zwiedziliśmy ribat i meczet, aby nastroić się na podobne obiekty w Monastyrze. Ciekawa zabudowa medyny, suki i stragany ze świeżymi, olbrzymimi i pachnącymi truskawkami, na które był akurat sezon. Takich truskawek, jak te w Tunezji, nie jedliśmy do tej pory nigdzie na świecie, ani w naszym kraju. Pychota :)

Trochę mieszane uczucia mieliśmy oglądając za to krowie łby, na rzeźnickich straganach. Ale co kraj to obyczaj, u nas świńskie łby na bazarach to też nic dziwnego.

Z Susy do Monastyrza kursuje kolejka, zwana Sahel metro. Można nią dojechać do samej Mahdii, którą planowaliśmy zwiedzić też tego samego dnia. Niestety za dużo czasu zabawiliśmy w Susie i Monastyrze by zdążyć odwiedzić to podobne urocze maisteczko, aby nie spóźnić się na ostatni pociąg wracający w kierunku Tunisu.

Monastyr trzeba koniecznie zwiedzić z kilku powodów. Dla nas najważniejszym było to, że udawał on w wielu filmach Jerozolimę, a zwłaszcza w "Żywocie Jezusa" i jego parodii, czyli w "Żywocie Briana" wg Monty Pythona. To na murach monastyrskiego ribatu rzymianie ganiali Briana, to na tę wieżę uciekał i z niej wypadł do statku kosmicznego, który akurat spadał na Ziemię...to tutaj...to po prostu trzeba zobaczyć... i sam film i sam Monastyr.

To też miasto rodzinne pierwszego prezydenta Tunezji, Burgiby, gdzie obecnie znajduje się jego mauzoleum z grobem. Udało nam się je zwiedzić choć początkowo strażnik zamknął nam bramę przed nosem twierdząc, że już zamykają choćbyło jeszcze 15 minut do 17.00 do której według tablicy informacyjnej przed wejściem miało być czynne. Po skruszonych minach i błaganiach dziewcząt zmiękł i nas wpuścił.

Wartobyło się ukorzyć, bo to ciekawe miejsce. Dowiedzieliśmy się też z przewodnika, że w Monastyrze stoi też złoty pomnik Burgiby jako ucznia tamtejszej szkoły, któraa podobno specjalnie zburzono, by w jej miejscu postawić właśnie owy monument. Dziwna sprawa, ale chyba to była już decyzja jakichś fanatyków po śmierci samego prezydenta, który ponoć na strość sam tracił zmysły, co było powodem odsunięcia go do władzy przez jednego z ministrów niejakiego Ben Alego.

Sam został nowym prezydentem obiecując zmiany. Miał wprowadzić reformy, ale zaczął od zmiany konstytucji, dającej mu możliwość dożywotniego sprawowania władzy startując co prawda w kolejnych wyborach. Akurat podczas naszego pobytu trwała taka sztuczna kampania, bo wszyscy wiedzieli z góry kto w nich wygra. Ale był to pretekst do samopromocji władcy, który spoglądał na nas z każdej strony, z billboardów, flag, sztandarów, a nawet talerzy.

Tuż obok mauzoleum Burgiby znajduje się muzułmański cmentarz, na którym podobno leży jego rodzina i bliscy. Nie udało nam się jednak zlokalizować ich nagrobków, bo nikt z nas nie zna się na czytaniu arabskich "wężyków", a wszystkie groby były tak samo skromne i podobne do siebie.

Hammamy to arabskie łaźnie. W Tunezji spotkaliśmy kilka miejscowości, których nazwy wywodzą się od kąpieliska. Niedaleko naszego hotelu była miejscowość Hammam Lif. Z kolei Hammamet to znany nadmorski kurort z ofertą wielu biur turystycznych. Na obrzeżach północnej Sahary, nad słonym jeziorem jest Hamma-el-jarid, miejsce wypadowe na safari do Ong Jemal, jednego z planów filmowych gwiazdnych wojen.

Do Hammamet dojechaliśmy pociągiem z Hammam Lif. Kolej to tani środek transportu, choć nie wszędzie da się nią dojechać. W wagonach jest czysto i spokojnie. Można się napić, sprzedawanych tam jak w samolocie, soków lub napoju cydrowego oraz zjeść kanapkę.

Spacer po samym miasteczku to ciekawe doświadczenie. Udało nam się na przykład zajrzeć do salonu fryzjerskiego, gdyż większość sklepów czy zakładów usługowych ma otwarte drzwi. Fryzjerzy i ich klienci chętnie i z uśmiechem pozowali do zdjęć z nożycami i brzytwami. W Hammamecie zauważyliśmy też, że wbrew obiegu opinii arabskie pary, także osoby w średnim wieku, też chodzą trzymając się za ręce, a nie jak nam niektórzy "znawcy" powiadali, że kobiety chodzą wyłącznie z tyłu za swoim mężem.

Miłe wrażenie zrobiła na nas plaża, a właściwie stojące na piasku kolorowe, rybackie łodzie. No i oczywiście zakamarki medyny. Widzieliśmy też otwarte drzwi meczetu, ale nie mieliśmy śmiałości tam wejść, gdyż akurat trwały modły i mężczyźni zmierzali tam z pobliskiego budynku, w którym dokonywali obmycia. Wszystko przy otwartych drzwiach. Mogliśmy się przyglądać, ale czuliśmy się trochę jak intruzi.

Z Hammamet dojechaliśmy do pobliskiego Nabulu lokalną taksówką według wskazań taksometru. To miejscowość znana z wspaniałej ceramiki. Na każdym kroku można się było o tym przekonać. Wszędzie widac było zdobione, ceramiczne elementy architektoniczne. Fasady domów, nadkola i otoczki wokół okiennic, balkonów, drzwi, kolumn wykończone były zazwyczaj niebieskawą, szczegółowo zdobioną ceramiką. No i oczywiście stragany z wyrobami miejscowych rzemieślników. Tu była pewność, że to nie wyroby z Chin.

Kupiliśmy sobie na pamiątkę drobne artykuły, flakony i świeczniki, w obawie przed rozbiciem większych podczas podróży powrotnej do hotelu, a potem do kraju.

Spostrzeżliśmy też wspaniałą, średniej wielkości kilim na ścianę. Określiliśmy, że możemy za niego dac nie więcej niż 40 dinarów i podeszliśmy odważnie się potargować do sprzedawcy. Ten podał kwotę 80 dinarów. Gdy podałem cenę 20 dinarów, jęknął, sapnął i zaśmiał mi się w twarz, po czym powiedział, że za mniej niż 70 nie sprzeda. On zszedł 10 to ja też. Podałem cenę 10 dinarów, tak dla żartu. On się tak zdziwił, że go zatkało. Gdy po chwili ochłonął wydukał, że to nie w porządku, zaczął rwać sobie włosy z głowy, zahwalać kilim, że to oryginał, taki piękny i jak ja w ogóle mogłem zejść ze swojej uprzedni podanej ceny zamiast dac większą zgodnie z zasadami tej gry.

Wyjaśniłem mu, że skoro on zszedł o dychę to ja też. Ale gdy zobaczyłem przerażenie w jego oczach i niepewność, powiedziałem że to był żart i dam dychę w górę czyli 30. On odetchnął z ulgą, poklepał mnie po ramieniu mówiąc, że jestem good man i że za 60 mi sprzeda dywan.

Wezwałem posiłki w postaci żony, która w tym czasie zajęła się oglądaniem torebek. Spytałem się czy jej się podoba ten dywan, dając mimiczne znaki by zaprzeczyła, ale niestety nie zrozumiała i powiedziała, że jest piękny i bierzemy...Cholewcia, moja strategia legła w gruzach. Wziąłem żonę na bok i jej wyjaśniłem, że ma udawać że to dziadostwo i idziemy dalej. Tak zrobiła. Tymczasem sprzedawca zorientował się, że nma w nas godnych partnerów tej hecy i po zniechęconej minie żony i sugestii pójścia dalej zszedł do 50. Ja zaoferowałem 40, on szybko przybił rękę i zaczął pakować kilim. W ten sposób kupiłem go za zakładaną wcześniej cenę, co uważam za osobisty sukces.